DWÓR I WIEŚ
PISMO ILUSTROWANE



WYWCZASY I. PIEŃKOWSKI

LIPIEC SIERPIEŃ ROKU 1931
WARSZAWA POZNAŃ KRAKÓW
CENA 1 ZŁ 20



PROPAGANDA WYROBÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

PROPAGANDA WYROBÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

PROPAGANDA WYROBÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

PROPAGANDA WYROBÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

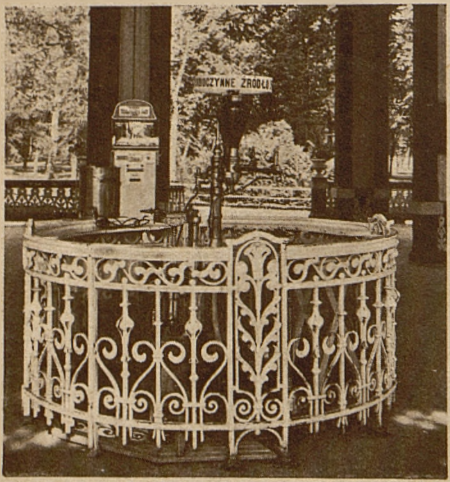
Reprodukujemy tu jeden z plakatów, reklamujących zagranicą polską wódkę „czystą wyborową", która, między innemi, zdobyła sobie rynek francuski i w Paryżu uchodzi za najwytworniejszy apéritif.

CIECHOCINEK – JEDNO Z PRZODUJĄCYCH UZDROWISK ŚWIATOWYCH

Pod nazwą PARKU ZDROWIA powstaje w Ciechocinku na rozległym 26 hektarowym terenie między tężniami wielki ośrodek przyrodoleczniczy, odpowiednio zadrzewiony, z otwartym zbiornikiem solankowym, plażą, boiskiem i placem do ćwiczeń metodycznych, gier i zabaw ruchowych, ogródkami jordanowskiemi i stadjonem sportowym. Tam, w bezpośredniem zetknięciu z przyrodą w idealnych, dzięki bliskości tężni, warunkach klimatycznych, znajdą szerokie rzesze ludzi lekko chorych i osób towarzyszących zdrową rozrywkę i przemyślaną, dozorowaną przez lekarza zaprawę fizyczną. Całe zastępy dzieci wątłych, ze skłonnością do zołzów i skaz otrzymają w odpowiednio urządzonych ogródkach jordanowskich należytą opiekę i leczenie zapobiegawcze.

Stadjon sportowy, boiska, plaże, zespoły urządzeń leczniczych i rozrywkowo-sportowych, skocznie, ześlizgi, kawiarnia, mleczarnia, zakład kefirowy i t. p. wypełnia Park Zdrowia. Ale ośrodkiem jego i głównem urządzeniem będzie wielki zbiornik otwarty, zasilany stale solanką cieplicą. Zbiornik ten o wymiarach 40 × 100 mtr. i głębokości 40 cm. do 3 mtr., zastąpić powinien tak odczuwany u nas brak morza ciepłego i należycie słonego.

Dla tem większego upodobnienia do morza, zbiornik otrzyma przyrządy do tworzenia sztucznych fal, do złudzenia podobnych do fal morskich.



Na prawo mamy stylowy, wdzięczny budynek Zarządu Państwowego Zakładu Zdrojowego. Na lewo — jedno z radjoczynnych źródeł solankowych tego uzdrowiska, zdobywającego sobie jedno z pierwszych miejsc nietylko w Polsce lecz w całym świecie.



Dwór i Wieś

Pismo Ilustrowane

Warszawa | Lipiec — Sierpień | Rok 1931



Łowiczanka

Photo-Plat

ZACHOWAJ UŚMIECH

Nie jestem naogół zwolennikiem amerykańskiego życia — gorączkowego, oszałamiającego, podziwiam jednak i cenię niektóre z obyczajów amerykańskich. O jednym chcę dziś pomówić. Jest to sportowe hasło amerykańskie: *Keep smiling — Zachowaj uśmiech!*

Nie jest to bynajmniej nawoływanie do zachowania na twarzy stałego niezmiennego uśmiechu, który właśnie dlatego, że stały, stačby się musiał bezmyślnym. Nie jest to także namowa do pustego śmiechu bez przyczyny, do fałszywej wesołości,—bo i polskie przysłowie ludowe mówi: *po czem poznać głupiego — po śmiechu jego.* Że zaś ktoś się uśmiecha, gdy mu jest wesoło, — to nie sztuka! To potrafi każdy... Tu nie o to chodzi. Idzie o coś zupełnie innego. Amerykańskie sportowe hasło wymaga, żebyś zachował uśmiech właśnie w chwili, gdy nie do śmiechu masz ochotę, lecz—przeciwnie—gdy cię rozpiera złość, zniecierpliwienie, ból, wściekłość, gdy chcesz kląć, bić, jęczeć lub płakać, — wtedy, bracie, — *zachowaj uśmiech!*

Uprzytomnijmy to sobie na przykładzie. Weźmy tak pospolity na ulicy wypadek zaczepienia się dwóch mijających się wozów. Wrzask, krzyk. Obaj woźnice klną, na czem świat stoi, obaj przypisują sobie wzajemnie winy, — każdy człowiek woli przypisać winę drugiemu, niż sobie. W Europie i baty często gęsto idą w robotę. Słowem, awantura!

Nie raz zdarzało mi się obserwować ten sam obrazek w Ameryce. Zaczepiły się wozy. Wściekłe spojrzenia obu woźniców. Gwałtowny skok z kozła. Lecz nagle w głowie błyska: *Bądź sportowcem! Keep smiling. Stało się.* Już wybiegająca klątwa zamiera na wargach, które wydłużają się w serdecznym uśmiechu. Ruchy nagle wolnieją, nienaturalnie powoli zbliżają się obaj woźnice do miejsca uszkodzenia i naprawiają je wspólnemi siłami. Za chwilę przyjaźnie kiwnąwszy ku sobie głowami, już z prawdziwym uśmiechem rozjeżdżają się w swoje strony.

To sportowcy, — zachowali uśmiech!

Drugi przykład. Ludzie wszędzie są tylko ludźmi i podlegają tym samym uczuciom gniewu, zniecierpliwienia, irytacji. Lecz w Ameryce i bijatyka nawet podlega pewnym przepisom sportowym.

Wracałem w Nowym Yorku po pracy do domu kolejką podziemną. W tych godzinach — między piątą a szóstą popołudniu — ścisk na kolei podziemnej, napowietrznej i w tramwajach jest poprostu nie do opisania. Ludzie się tłoczą, popychają, nadeptują; nikt na to nie zwraca uwagi, nikt nie ma czasu ani na wyrażanie, ani na przyjmowanie przeprosin. Wszyscy się śpieszą. Można stracić swój pociąg! A następny idzie *dopiero* za dwie minuty!

Nie wiem, co zaszło między dwoma młodymi ludźmi, widocznie inteligentniejszymi robotnikami; jeden, wysoki blondyn, wyglądał na anglika, drugi, mały brunet, na włocha. Spostrzegłem ich dopiero, gdy ściśnięci, jak śledzie, w straszliwym tłoku, w wagonie, koło mnie, przerzucali się cichemi, lecz złowrogiemi słowy. Usłyszałem, że umawiają się wysiąść na skwerze. Aha, więc walka na pięści. Skwer był niedaleko mej właściwej stacji; nie śpieszyło mi się; przez ciekawość wysiadłem z przeciwnikami.



Żniwa dworskie *Photo-Plat*

Za chwilę obaj, przeskoczywszy niską żelazną barjerkę, znaleźli się na pięknym trawniku skweru, na co zwyczaj amerykański pozwala. Zdjąwszy marynarki, stanęli w bojowej bokserskiej postawie: lewa pięść przed brodą, prawa na wysokości żołądka. Zgromadziła się grupka przechodniów; podszedł z powagą z pobliskiego posterunku majestatyczny policjant, gruby i wysoki, z potężną białą pałą na rzemyku w prawej dłoni. Rozpoczęła się walka. Przebieg jej był — przynajmniej dla mnie — nieoczekiwany. Mały brunet, którego uważałem za ofiarę, już po kilku ciosach rozłożył swego, znacznie większego, przeciwnika na trawie. Wprawdzie zerwał się tamten natychmiast i rzucił do dalszej walki, lecz za chwilę leżał znowu. Tym razem leżał dłużej i powstał z wyraźną trudnością. Policjant zainterwenjował:

Dosyć, panowie.

Brunet miał rozciętą wargę, blondynowi szybko puchło podsiniaczone oko, z nosa kapały mu grube krople krwi. Żadnemu wcale nie zbierało się na śmiech, lecz — zgodnie z regułami sportu — obaj wysilili się na obowiązkowy uśmiech i zamienili równie obowiązkowy uścisk ręki — na zgodę. Wszyscy rozeszliśmy się, — policjant z niezamąconą powagą powrócił na swój posterunek. Chcesz bić,— naucz się pogodnie przyjmować cięgi.

Okazyj do stosowania powyższej zasady zachowania uśmiechu nikomu w życiu nie brak, — przeciwnie, mamy ich więcej, niż potrzeba. Spróbuj, miły czytelniku, zastosować ją w praktyce, ot tak — chociażby dla sportu.

W. M.

LATO

O ciężarze nad siły, skwarze stupudowy,
Spadający na drzewa i wyniosłe domy!
Jak wino i jak miłość uderzasz do głowy,
Najzmysłowiej cielesny, jasny i widomy.

Mistrz Ogniowy zapalił słońce silną dłonią.
Z ognistego kołczanu ciska strzały złote!
Ach, ścigają nas strzały, zapalczywie gonią,
I zasiewają w sercu radość i tęsknotę.

O ciężarze nad siły, o radosne brzemię,
Lato, sokiem tętniące, jak dojrzałe jabłko!
Rękami płomiennemi obejmujesz ziemię
I urodzi nam ziemia, będzie dobrą matką.

Włodzimierz Słobodnik

PRZYGODA TURYSTYCZNA PANA BIAŁECKIEGO

Bolesław Białecki, jedyny dziedzic niewielkiego majątku na południu Wielkopolski, wybrał się tego lata nad morze. Po raz pierwszy w życiu.

Znał już Zakopane, znał Krynicę, był nawet w Worochcie, a morza jeszcze nie widział. Teraz pojedzie nad to morze. Zobaczy nareszcie polski port, legendarnie z piasków wyrosłą Gdynię, nowe gościńce i koleje, gmachy i ludzi, otartych już z pokostu niemieckiego, nacieszy serce postępami Polski nad Bałtykiem; wstyd naprawdę, że jeszcze tam nie był.

Nie chciał się sobie przyznawać, że utajone myśli jego biegły także ku szerokiej plaży nadmorskiej, znanej mu dotąd tylko z opowiadań i z ilustracyj; tam będzie mógł oglądać w całej krasie najpiękniejsze kształty kobiece ze wszystkich stron Polski. Nie zamierzał nawiązywać żadnych bliższych i trwalszych stosunków, broń Boże! Miał głęboko wyrytą w pamięci przezorną przestrogę matki, że ożenić się zawsze jest czas. Poprostu rozerwie się po znojach i nudach wiejskiego żywota.

Od śmierci ojca, to jest od dwu-



Żniwa gospodarskie *Photo-Plat*

dziestego drugiego roku życia, już przez pięć lat sam z matką gospodarował w Bodzanówku, siejąc, zbierając, wystawiając weksle, protestując weksle, tocząc targi z urzędem skarbowym.

Trzeba się urwać od tego choć na parę tygodni. Nawet nie czekając końca żniw. Owsa i koniczyn dopilnuje pod okiem matki Wawrzon, stary karbowy, na tem stanowisku od lat czterdziestu wiernie trwający.

Białecki należał do ludzi szybko postanawiających i szybko działających. Omówiwszy z matką i z Wawrzonem porządek robót sierpniowych, siadł na najbliższym przystanku na pociąg, zawadził w interesach o Poznań, ale tylko na kilka godzin, a trzeciego już dnia, naprzekór złośliwemu kapuśniaczkowi, kąpał się w morzu.

Gdy po dwóch dniach nikczemnej słoty, słońce zesłało hojne łaski radosnych promieni, poznał na plaży pannę Irę Zaworzankę; tak się złożyło, że tego jeszcze wieczoru utrwalił znajomość na dancingu.

Zgrabna warszawianka była typem nowoczesnej panny — wysportowana, samodzielna, oczytana, zręczna i śmiała w rozmowie. Prócz tego, miała w sobie jakąś wewnętrzną wyższość, coś, czego narazie nie potrafił sobie Białecki określić.

Okazało się z dalszej wymiany zdań, że panna Ira zdążyła już być tego roku w Sejnach, w Augustowie i gdzieś tam jeszcze, że zwiedziła Grodno i Troki, opowiadała o jakichś kresowych miasteczkach jak z bajki, o zaklętych czarujących jeziorach, o wieżycach świątyń po miastach i o świątyniach puszcz nieprzejrzanych.

Białecki słuchał tych wynurzeń jak muzyki.

— Jakem ja się zasklepił na tej jednej wsi, koło pługów, młockarń i żniwiarek — pomyślał sobie. — Tępieje człowiek i gnuśnieje, sam sobie zacieśnia koło zainteresowań.

Któregoś dnia, po partji tennisa, mimochodem wtrąciła Ira, że w *Gnomie*, gdzie mieszka, jest wyjątkowo dużo słońca, piękny widok na morze, nienaganna kuchnia i uprzejma obsługa. Wówczas dopiero Białecki spostrzegł podłe położenie swego *Zacisza*, uświadomił sobie całe niedbalstwo, z jakiem traktowano tam gości. Zaraz wymówił pokój i już w kilka dni potem przeniósł się do *Gnomu*.

Teraz spotykali się kilka razy dziennie. Stwierdził młody ziemianin na plaży, że kształty panny Iry są niemal doskonałe, postawa wdzięczna, a krok lekki, jak krok ptaka, każdej chwili gotowego do lotu.

Zaraz na trzeci dzień pobytu Białeckiego w *Gnomie* zaproponowano przy stole przejażdżkę do Jastrzębiej Góry. Młody docent ze Lwowa, pyzata studentka i panna Ira odrazu byli gotowi. Bez trudu zjednano Białeckiego na czwartego.

— Zobaczy pan jeszcze jedną fortyfikację polską nad Bałtykiem — wspaniały, dopiero co otwarty bulwar nadmorski — rzekła zachęcająco panna Ira.

Wynajętą limuzyną pomknęli gościńcem do Pucka. Rychło jednak trzeba było zwolnić, tyle samochodów, autobusów, pojazdów spotykali na drodze, nie mówiąc o gromadkach rozochoconych harcerzy.

W Pucku nie zatrzymali się, obiecując sobie zwiedzić miasto w drodze powrotnej.

Koło południa przybyli do Wielkiej Wsi.

Ze szczytów Kępy Swarzewskiej ujrzeli przed sobą w wykroju pagórków i stromego brzegu rozległą błyszczącą smugę, jak gigantyczne ostrze, rzucone na widnokręgu.

— Wielkie morze! Wspaniałe! pyszne! — wykrzyknęła studentka.

A morze, jak w odpowiedzi, przysłało szum i chrzest.

Wjechali teraz na asfaltową jezdnię, gładką jak lustro, z chodnikami po bokach, ze spustami kanałowemi, z betonowemi krawężnikami po bokach.

Zkolei jął się zachwycać Białecki:

— Cudowne, wspaniałe! Sala balowa, nie gościniec, jak mi Bóg miły! Niech żyje Polska! — o mało nie uściskał siedzącej obok Iry, ucieszonej jego dziecięcym zachwytem.

Zwolna, mijając inne samochody oraz sznury letników i turystów na chodnikach, przejechali między gronem ślicznych dworków hallerowskich a lasem namiotów przysposobienia, a potem nieco szybciej przemknęli przez wyniesione na wzgórzach Chłapowo. Zmierzali ku wielkiej, zdaleka widnej latarni.

Morze to ukazywało się ich oczom, to ginęło niespodzianie za wyniosłościami, jakby grając w chowankę. Ale jego szum towarzyszył im cały czas nieodstępnie.

— Przylądek Rozewski, najbardziej na północ wysunięty ląd Rzeczypospolitej. I najsilniejsza na Bałtyku latarnia morska — przedstawiała panna Ira, jak dobrych znajomych.

Zwiedzili wnętrze latarni, jej urządzenia sygnałowe, obejrzeli obelisk, wzniesiony na pamiątkę wylądowania Zygmunta Wazy. Ze szczytu stromego przylądka nie mogli nacieszyć oczu morzem, kłębiącym się u brzegu, a spokojnem i coraz spokojniejszem w dali, tajemniczem i hypnotycznem. Na zachód wdzięczyła się Jastrzębia Góra.

— Jeszcze Lisi Jar — rzekła panna Ira i poprowadziła towarzystwo brzegiem, aż skręcili w wąwóz rozkoszny, rozgałęziający się odnogami, pełen bujnej roślinności.

— Czary i uroki, czary — gadał jak do siebie Białecki, prowadzony przez pannę Irę.

Przekonał się teraz, ile ta warszawianka, obok zamiłowań sportowych, ma gorącego zamiłowania krajoznawczego, jaką posiada moc wiadomości o krajobrazie Polski, o odrębnościach dzielnic i okolic kraju, jakiem odznacza się pysznem, wręcz artystycznem spojrzeniem na krajoznawcze wartości przyrody.

Praktyczny docent brutalnie wyrwał towarzystwo z pośród zachwytów:

— Bo nie zdążymy na noc do Gdyni!

Wrócili do maszyny, która została na opiece latarnika, wsiedli i ruszyli. Lecz ledwie zatoczywszy łuk, zdołali wjechać do Jastrzębiej Góry, gdy docent oschle stwierdził:

— Za godzinę będzie ulewa.

— Kracze pan niczem puszczyk — rzekła Ira.

— Lepiej — bo bez zawodu, z gwarancją.

Zawrócili i pomknęli teraz chyżo, ile tylko ruch na gościńcu pozwalał.

Śród rzęsistego deszczu stanęli przed swym *Gnomem*.

— Czy zna pan Szwajcarję Kaszubską? — zapytała Ira któregoś dnia po owej wycieczce, leżąc na gorącym mialutkim piasku wybrzeża z oczyma przysłoniętemi dłonią.

— Nie znam. Czy naprawdę taka piękna?

Czy piękna! Panna Ira roztoczyła przed Białeckim obraz jezior, oprawnych we wzgórza lesiste, borów bukowych i sosnowych, wiosek strojnych, schowanych między pagórkami. Malowała tak ponętnie i z takim zapałem, że podniosła się zaraz, a oczy jej zajaśniały.

Młodzieniec aż się poderwał.

— Zrobimy tam wycieczkę! — zawołał.

— Zwiedzałam już tę Szwajcarję, ale z wielką przyjemnością zwiedzę po raz drugi — odparła z uśmiechem.

Koleją dotarli do Kartuz.

Gdy rano, wyszedłszy z porządnego hoteliku, minęli czyściutkie uliczki







Nie groźne skrzyżowanie szabel — bo między dziadkiem a wnukiem, między Zdzisławem hr. Tarnowskim z Dzikowa, ojcem pana młodego a małym hr. Tyszkiewiczem.—W kole: Państwo młodzi w parku klemensowskim pod prastarą lipą. — Pan młody i jego ojciec w dawnych strojach polskich: żupanach, kontuszach i deljach.

Państwo młodzi, Róża hrabianka Zamoyska i Artur hr. Potocki, po obrzędzie zaślubin opuszczają kolegjatę w Zamościu. Staropolskim zwyczajem wychodzących z kościoła nowożeńców osłania dach szabel, gotowych do obrony.— Na dole: barokowy pałac Maurycostwa hr. hr. Zamoyskich w Klemensowie koło Zamościa.



Dnia 15 lipca r. b. odbył się w kolegjacie zamojskiej obrzęd zaślubin Róży hrabianki Zamoyskiej, córki ordynata, z Arturem hr. Tarnowskim z Dzikowa, a następnie uroczystości weselne w Klemensowie koło Zamościa, znanej siedzibie ordynackiej Maurycostwa hr. hr. Zamoyskich.



Zdzisław hr. Tarnowski z Dzikowa, ojciec pana młodego i pan młody — Artur hr. Tarnowski

E. ROSTAND — Tłum. N. L. JOTTE

HYMN DO SŁOŃCA

Ty, co osuszasz kwiaty najmniejszych ziół polnych,
Co z uschniętego kwiatu robisz cud-motyla,
Gdy z drżących migdałowców górski wiatr swawolny,
Jak los człowieka bezwolny,
Liście po świecie rozpyla,

Uwielbiam Cię, o Słońce, którego promienie,
By pieścić wszystkie czoła, dać miodom źrałości,
Schodzą do wszystkich kwiatów, pod każde sklepienie,
Jak miłości matki tchnienie,
Dzieląc się — trwają w całości!

Opiewam Cię — i weź mnie za swego kapłana,
Ty, co tęczą zaglądasz do balji z mydliną,
A blaski twych pożegnań często popękana
Chwyta, skromna szybka szklana,
Zanim blaski w noc odpłyną!

Obracasz kalejdoskop witraży w kościele,
Na dzwonnicy rozświetlasz kurka w złotym blasku,
Gdy ślesz przez liście lipy światła twego biele,
Staję — tak piękny się ściele
Ruchomy deseń na piasku.

Ty zamieniasz w emalję polewę na dzbanku,
Sztandarem czynisz ścierkę suszoną na murze,
Przez Ciebie wiatrak na czapy swej blanku
I ul, o jasnym poranku,
Lśni złotem na swym kapturze.

Błogosławioneś w trawie i wśród chłodnych murów!
Chwała Ci pośród winnic i wśród łąk wspaniałych,
Czyś na skrzydłach łabędzi, czy w oczach jaszczurów,
O twórco wielkich konturów!
O twórco szczegółów małych!

Świat cudny podwoiłeś, każdej jasnej rzeczy
Dając nieodłącznego bliźniaka ciemnego,
Co u stóp jej się ściele i w ślad za nią kroczy,
Częstokroć bardziej uroczy
Cień — od przedmiotu samego!

Uwielbiam Cię o Słońce! Płomień palisz w cieczy,
W powietrzu siejesz wonie róży, bzu i jodły,
Drzewko — w boga się zmienia dzięki twojej pieczy
O Słońce! Bez Ciebie rzeczy
Tylkoby sobą być mogły!

ki z uśmiechniętemi domkami, gdy przeszli się wolno nad prześlicznem, rozlewnem jeziorem Klasztornem, w którego jasnej toni odbijał się z fotograficzną niemal dokładnością stary klasztor pokartuski, gdy dostali się wreszcie na Krzyżową Górę, Białecki, przebiegłszy okiem wzgórza, doliny, lasy i miasteczko, jak cacko śród nich rzucone, ujął Irę za rękę i szepnął:

— Dziękuję.

Następnego dnia, wczesnym rankiem opuścili Kartuzy. Dla pośpiechu wynajęli bryczkę. Świetnie utrzymanym gościńcem, opuszczającym się zlekka w dolinę Raduni, a później znów się wznoszącym, zbliżali się ku Wieżycy, najwyższemu szczytowi górzystych Kaszub i całego Pomorza.

Ira mimochodem rzucała uwagi o mijanej okolicy — to o rzeźbie terenu, o łagodnych pagórkach, jarach głębokich i rozpadlinach jak górskie, o płaszczyznach bagiennych, to o zarysach wzgórz, o pagórkach, wywyższonych sztucznie w grodziska przez pierwotnych Pomorzan, to o taflach długich jezior o zmiennym blasku, to wreszcie o pradawnych, lechickich nazwach wsi i osad.

— Naprawdę, nigdybym nie przypuszczał, że tyle piękna tai się w Polsce. Ależ pani odkrywa przedemną nowe ziemie!

A sam zaczął się zwierzać ze swych trosk gospodarskich, zamiarów społecznych i planów. Słuchała uważnie, a z odpowiedzi i pytań zadawanych widać było, jak przenikliwie i roztropnie patrzy na rzeczy.

Nasyciwszy oczy widokiem Wieżycy, porosłej lasem, a u szczytu ozdobionej kobiercami wrzosowisk, popłynęli łodzią wzdłuż jeziora Ostrzyckiego, otulonego bujnemi lasami, i kołując jeszcze dwa dni nad jeziorami, zawrócili wreszcie ku Kościerzynie. Ostatnie dwa dni szli przeważnie pieszo.

Gdy już przed nimi zarysowały się w dali mury Kościerzyny, panna Zaworzanka rzuciła towarzyszowi:

— Wie pan co, może jeszcze z Gdyni spróbujemy zwiedzić wielkie jezioro Żarnowieckie na pograniczu i romantyczne Dębki nad Piaśnicą— północno-zachodni kraniec Polski? Albo może Tczew i Pelplin i starożytne miasteczka nadwiślańskie — Gniew, Nowe; w Nowem nawet się mury obronne dotąd zachowały. Tylko, czy starczy nam czasu? Pan się już pewnie spieszy do swych zajęć?

— Ale na przyszły rok — ciągnęła dalej, nie otrzymawszy odpowiedzi — serdecznie radzę, niech pan koniecznie zwiedzi najromantyczniejsze gniazdo górskie — Pieniny. Nie wiem, czy jest coś równie pięknego na świecie. Albo Wilno, Troki i jeziora Wileńszczyzny, wspaniałą Narocz, największe jezioro w Polsce.



Jak wiadomo, trzy są główne czynniki zdrowia: słońce, zimna woda i niebieskie oczy — (a może czarne? a może bure?). Właśnie nasza ilustracja plastycznie to uzmysławia, zwłaszcza, że trzeci czynnik reprezentują oczy gwiazdy nad gwiazdami, Jeanette Mac Donald.

Białecki wciąż milczał, zapatrzony hypnotycznie w dachy miasta, oblane czerwienią zachodu, ale znacznie zwolnił kroku, zniewalając do tego i towarzyszkę. Wreszcie, jak zbudzony ze snu, przystanął i odezwał się:

— Panno Iro! niech Pani zostanie moim przewodnikiem...

— Jakto? w przyszłym roku?

— W przyszłym, następnym i jeszcze dalszym, aż do końca życia.

— E, czy się aby pan dostatecznie namyślił? taki długi kontrakt? — roześmiała się.

— Kocham panią i czuję, że nie znalazłbym żony godniejszej od pani.

Szli teraz wolniutko. Objął jej kibić prawą ręką, a lewą zwolna zwróciwszy jej twarz ku swojej, przylgnął zmysłowemi wargami do jej nieznacznie drgających usteczek.

— — — — — — — — — — — — — —

Ślub młodej pary odbędzie się w tym karnawale w Poznaniu. Kryzys nie przeszkadza. Stara pani Białecka także nie — mówi, że się jej synowa udała. Na ślub zapraszamy wszystkich czytelników *Dworu i Wsi*.

GOŚĆ UPRAGNIONY

HUMORESKA

Pociąg osobowy, kursujący na linji różnych mniejszych i większych miejscowości klimatycznych, gwizdnął i stanął na stacji malowniczego uzdrowiska Bambosze Wielkie. Wnet do wagonów przyskoczyło kilku numerowych, paru umorusanych huculów oraz jakoweś mętne indywidua w czapkach z wyszytemi nazwami hoteli.

Z pustego przedziału drugiej klasy wysiadł jeden, jedyny pasażer. Był to szczupły, blady młodzieniec, który miał dwie skórzane walizy i wujaszka księdza. Tylko, że walizy miał z sobą, a wuja na plebanji. Z prawdziwą rezygnacją oddał pakunki jednemu z tragarzy, polecając zaprowadzić się do takiego pensjonatu, gdzieby mu było najwygodniej; miejscowości bowiem nie znał. Rodzimy kulis wymienił pensjonat: *Raj*.

Poszli więc do *Raju*.

Maszerowali coś koło godziny. Naprzód zakurzoną drogą, następnie po przegniłej desce przez moczary, potem przeszli pod drutem kolczastym, zaczem przebyli parkurs trzech płotków, wykonali skok w dal przez maleńkie bajorko, aż ostatecznie wybrnęli na trakt, skąd już ukazały się w oddali kontury *Raju*.

W każdej miejscowości kąpielowej, w pełni najlepszego sezonu, w okresie, kiedy wszystkie pensjonaty szczelnie są wypełnione, zawsze znajdzie się taki jeden, w którym panują pustki. Niewiadomo czemu, bo i kuchnia smaczna i sam domek w lesie wcale niczego i rzeczka szumiąca, że spać nie daje, a mimo wszystko pies z kulawą nogą tu nie zajrzy. Pensjonat *Raj* był właśnie takim pensjonatem bez psa z kulawą nogą.

Gospodyni, która po przybyciu każdego pociągu stała na ganku, wyglądając pierwszych naiwnych, jak rozbitek, który na wzburzonym oceanie wypatruje lądu, na widok zbliżającego się poderwała się, jak kura z poderżniętem gardłem, poczem jęła obskakiwać przybysza, niczem wyżlica, ciesząca się z odnalezienia zagubionego pana. Z pękiem kluczy oprowadzała gościa po wszystkich pokojach — jakie wybierze locum: ten słoneczny, ten mniej słoneczny, ten północny, ten południowy, ten wschodni, ten zachodni. Jedzenie sute, pięć razy dziennie: na śniadanko mleczko, na podwieczorek kakaoko; gospodyni była uprzedzająca, podstarzała, upudrowana i gadatliwa. Gadała, jak nakręcona:

— Drzwi od werandki będzie mógł pan sobie otworzyć, gdy przygrzeje słoneczko, a zamknąć skoro zawieje zimniejszy wiaterek, dzwonek na służbę jest tu, ale lepiej po staropolsku klasnąć w dłonie, bo dzwonki, rozumie pan: elektryczne, a że w czasie ostatniej burzy nastąpiło właśnie wyładowanie elektryczności, więc palimy naftę. Ubikacja znajduje się tam — wskazała przez okno ręką na widniejący na horyzoncie jakiś sklecony z drzewa instrument, przypominający szubienicę na stokach cytadeli. — Wczoraj, gdyby pan przybył, bawiłby się pan wyśmienicie; mieliśmy bowiem jednego literata z Krakowa, dwóch francuskich dyplomatów z ambasady, trzy porucznikowe, inżyniera geodezji, oraz wspaniałą brunetę, wdowę po cynkografie. Ale akurat wczoraj wyjechali. Został jedynie tylko były rosyjski generał, syn adjutanta carskiego, nadzwyczaj ciekawy człowiek, zobaczy pan, nadzwyczaj, kuzynek, bardzo zdolny i poczciwy chłopak, siostrzenica-studentka filozofji ze Lwowa, no i ja z mężem. Zresztą jest gramofon, warcaby, szachy, domino, ping-pong i karty. Mąż chętnie zawsze zagra i wszyscy, niedrogo, ot tak, dla rozrywki. Pozatem, kąpiele, leżaki.

Jednem słowem, prawdziwy raj.

Gospodyni nareszcie zamilkła, młodzieniec chrząknął, zapłacił tragarza i zainstalował się w *Raju*.

Kiedy na dźwięk gongu zeszedł do jadalni na kolację, przy stole zastał już wszystkich w komplecie. Siedział więc ów emerytowany carski generał, łysy starzec z siwą brodą i guzem wielkości szyszki na żółtej czaszce. Ubrany był w czarne, wyświechtane spodnie, niedopięty pod szyją mundur z kilkunastoma medalami; gryząc ołówek, wpisywał drukowane litery w poszczególne kratki krzyżówki.

— Czy nie zna pan w Lotaryngji rzeki z pięciu liter, z drugą *m* czytając wspak? — zapytał nowego gościa, poczem zamilkł na dalszy ciąg wieczoru, zagłębiony w rozwiązywaniu trudnego zadania.

Resztę stołowników, oprócz samej gospodyni, stanowili: mąż jej, rumiany, t. zw. świński blondyn z nakrapianym krawatem i w cerowanych lakierkach, kuzynek, wystraszony anemicznik ze sterczącemi nierówno chudemi łopatkami, t. zw. przez lekarzy saperskiemi łopatkami, oraz siostrzenica, studentka filozofji uniwersytetu lwowskiego, dziewica o szerokim światopoglądzie i takichże biodrach. Wyglądało, że nowy przybysz stanie się jedynym żywicielem *Raju*, utrzymującym tę instytucję, gdyż nawet stary generał był tu jakimś dalekim krewnym, a więc wyjadaczem gratisowym. W czasie jedzenia rozmawiano mile o pogodzie wczoraj, dziś i jutro, o deszczach i suszach, które szkodzą zasiewom, jak opowiadał tu pewien doktór-agronom, dalej o trudach podróży i niesprawności pociągów, wreszcie po herbacie nowy gość zmęczony nużącą, całodzienną jazdą, udał się do siebie na spoczynek.

O tem, jak spał i co mu się śniło, niestety, nic nam nie wiadomo, natomiast kiedy z samego rana pokojówka, usmolona Kundzia, wniosła mu bułkę wraz ze szklanką mleka, na dworze lał deszcz, jakby rozumiał, że świeży przyjezdny jeszcze nie wykupił taksy zdrojowej. Młodzieniec ziewnął, przeciągnął się na łóżku, wreszcie zdecydował się odrzucić wojłokową kołdrę i podreptać ku blaszanej umywalce. Potem starannie ubrał się, zawiązał misternie krawat i zszedł do t. zw. bawialni. Tu przez pewien czas spacerował samotny z kąta w kąt. Gdy mu się znudziło, spróbował nastawić gramofon, ale że najnowszemi przebojami w kolekcji płyt były: *Salome*, *Blady Niko* i *Titina*, więc dał spokój i zwrócił się do śpiącego pod krzesłem kota. Począł go emablować słowami: *Kiiiciuś* i *Kiiitek*, zaczem w napływie czułości dla zwierzaka, pogłaskał go pod szerść, co stało się bezpośrednią przyczyną zatopienia pazurów kocura w ręce miłośnika zwierząt. Tak upłynął czas do godziny pierwszej, t. j. do obiadu. Pomiędzy zupą a mięsem prowadzono ciekawą i ożywioną rozmowę na temat dróg gminnych, gwiazd spadających i racjonalnego czyszczenia butów, aż wreszcie przy deserze mąż gospodyni, pragnąc rozweselić nieco świeżego przybysza, zaproponował *na taką pluchę małego pokerka*. Na dnie duszy żywił poczciwy człeczyna cichą nadzieję zarobienia czegoś extra od kochanego gościa.

Wokoło okrągłego stolika zasiadło całe towarzystwo. Anemiczny kuzy-

nek piskliwym głosem zaproponował na początek tanią grę po dziesięć groszy, co przyjęto bez protestów, poczem sędziwy generał, syn adjutanta carskiego, rozdał karty i rozpoczęto licytację.

Przyjezdny młodzieniec, nieczuły na subtelny z dwu stron pod stołem flirt stópkami gospodyni i jej siostrzenicy, usunął dyskretnie z terenu ich działań zaczepnych swe dolne kończyny, pozwalając obydwom paniom deptać sobie wzajemnie z niebowziętemi minami po pantoflach, i cały zatopił się w grze. Ale karta mu nie szła. Przegrywał, i raz po raz mniejsze lub większe sumy tonęły w puli i przechodziły na własność tego lub innego partnera, który wspólnie z wszystkimi innymi należał do tajnej koalicji przeciw pechowemu gościowi. Ta passa była podniecająca, rozochociła ich: coraz namiętniej grano. Mąż gospodyni, oblizując kąciki ust, schował do kieszeni kwotę, jaką wyłożył przed rozpoczęciem partji, anemiczny kuzynek zacierał spocone dłonie, licząc zyski i porównując w myśli wygraną z ceną nowej serji paryskich fotoaktów, dymisjonowany generał układał niklowe monety w ruloniki po złotówce, panie uśmiechały się czarująco i wierciły w trzcinowych fotelach, a wszyscy podwyższali stawki. Każde nowe niepowodzenie przeciwnika czyniło ich coraz pohopniejszymi; podbijali do niemożliwości bodaj najniższą kartę: streeta, dwie pary, nawet parę siódemek. Zapomniano o podwieczorku, kolacji, zapalono lampy i grano, grano, grano.

Jednak, jak to bywa, szczęście po pewnym czasie odwróciło się od sprzysiężonych. Gospodarz zmuszony był ponownie wyjąć pieniądze, kuzynek pożegnał się z fotoaktami, generał likwidował właśnie ostatni rulonik, kobiety nerwowo kręciły się na swych miejscach. Ale demon hazardu już schwycił wszystkich w swe szpony. Trzeba się teraz odegrać! Za wszelką cenę! Przed nowym lokatorem spiętrzył się stos gotowizny, a wkrótce urosła potężna sterta rewersów o astronomicznych cyfrach.

Noc dawno już zapadła, o śnie jednak nikt w tej chwili nie myślał, gdyż jakieś złe, szatańskie, fatalne szczęście stanęło na usługach nieubłaganego gościa. Generał przegrał już doń nietylko cały swój dobytek wraz z ceratowym kapciuchem i piankową fajką, lecz i medale świętej Anny, świętej Zofji, Fioletowej Podwiązki i Hermetycznej Papugi, tudzież wszystkie z dwugłowemi orłami guziki munduru. Zresztą wszyscy już swe



Oto oryginalny i piękny strój jeździecki. I kamizelka, i spodnie, i koszula naszej amazonki — wszystko oczywiście męskie, ale wdzięk, z jakim nosi ten strój właścicielka, czyni zeń, wbrew krojowi, coś wybitnie kobiecego.

długi płacili w naturze. Do szczęściarza należały już kryształy, porcelana, srebra rodzinne, obrazy, meble, nawet sprzęty i naczynia kuchenne, nawet pościel.

Ostatecznie, kiedy i stolik, przy którym odbywał się tragiczny bój przeszedł w jego posiadanie, a przy gospodarzach pozostały jedynie drewniane deski ścian i dach sadyby, gra dosięgła zenitu. Jeszcze ostatnia runda, jeszcze ostatnie czterokrotne roztasowanie i rozdanie kart i pensjonat *Raj* zmienił właściciela. Wówczas młodzieniec zaprzestał gry. Poprostu przeciwnicy jego nie posiadali już nic do przegrania.

— Pozwalam państwu przenocować jeszcze tę noc — wyrzekł łaskawie — a rano proszę opuścić moją posiadłość.

— — — — — — — — — — — —

Wstał cudny letni poranek. Złote sierpniowe słoneczko wychyliło się z poza szarej gęstwy mgieł i ciepłemi promieniami jęło ogrzewać uroczą górską kotlinę. Z modrzewiowego dworku wychodziło z węzełkami pięcioro bezdomnych. Powlókł się za nimi tylko wierny pies.

Służąca Kundzia z pogardą odwróciła się od włóczęgów, a rozjaśniwszy potem usmolone lica, podbiegła ku gankowi, aby odebrać rozkazy od nowego pana.

Taddy.

NA KRZE ŚRÓD OCEANU

— Czcigodni panowie, którzy ciągniecie przez słomkę lodowate coctaile, kołysząc się w wytwornych bujakach na tarasie kasyna, chciałbym widzieć wasze miny, gdybyście się znaleźli nagle po środku oceanu na krze topniejącej oko w oko z głodnym niedźwiedziem.

A mnie się to zdarzyło. Dziesięć lat temu. I jeśli me włosy są całkiem siwe, choć nie mam jeszcze trzydziestu pięciu lat, to właśnie na pamiątkę tej przeklętej przygody.

Powiedziawszy to, Mac Phree zapalił papierosa i rzuciwszy w dal płonącą zapałkę, ciągnął:

— Chcecie ją poznać? Posłuchajcie! Człowiek młody... pełen żądzy podróży... spragniony rzeczy nieznanych... To wam wyjaśni, jak się stało, żem przyjął udział, jako pomocnik przyrodnika, w wyprawie Parna i Scowa, której rząd szwedzki powierzył zinwentaryzować faunę i florę ziem podbiegunowych...

Po miesiącu zarzuciliśmy kotwicę u przylądka Lincolna, koło 75-go stopnia szerokości północnej.

Istna wycieczka dla przyjemności. Statek wytworny. Towarzysze rozkoszni. Praca interesująca. Nasza włóczęga miała trwać dwa lata.

Lato zbiegło błyskawicznie. Przezimowaliśmy. Czas szybko mija. Wszyscy, którzy zasmakowali wielkiej ciszy mroźnych pustkowi, potwierdzą wam, że tam nostalgję zachowuje człowiek zawsze.

Wreszcie godzina powrotu wybiła. Całą szybkością naszych śrubowców wydostaliśmy się na Atlantyk przez cieśninę Dawisową. Jeszcze tydzień, a ujrzymy brzeg norweski.

W tej to chwili wydarzyła się katastrofa.

Śród nocy czarnej, bez jednej gwiazdy, uderzyliśmy w górę lodową. Nasz statek, pędząc całą parą, trzasnął dziobem o jeden z tych lodowych pomników, które, oderwawszy się od ławicy podbiegunowej, pływają po oceanach, gnane prądami.

Co się dokładnie wydarzyło? Nie wiem. Stałem na mostku ze ślepą latarką, porządkując swe rzeczy. To mię niewątpliwie ocaliło. Wstrząs był tak gwałtowny, że rzucił mną o maszt. Omdlałem.

Gdym wrócił do przytomności, był dzień. Znajdowałem się na płycie lodowej, mającej jakieś sto metrów obwodu. Okręt zniknął. Zatonął z całą załogą. Tylko kilka szczątków drzewa pływało w oddali.

Zrozumiałem całą grozę położenia. Znajdowałem się na pełnym oceanie, na maleńkiej wysepce, płynącej sobie na los szczęścia; jedyny widok miałem przed sobą — śmierć z głodu.

Wtem krzyknąłem. Położenie było tragiczniejsze, niżem myślał.

Miałem towarzysza... ale jakiego towarzysza!... niedźwiedzia... olbrzymiego białego niedźwiedzia... jednego z tych drapieżnych niedźwiedzi podbiegunowych...

Jakim sposobem znalazł się i on na tej krze, widocznie uderzeniem oderwanej od góry lodowej? Ale nie była to wcale chwila do dociekań.

Narazie niedźwiedź leżał spokojnie, zdawało się, że śpi. Ale jak długo to potrwa? Wkrótce, niewątpliwie głos żołądka zbudzi go z pozornego odrętwienia.

Nie miałem żadnej broni.

Czyż byłby sens bronić się wiosłem drewnianem, które widziałem o kilka kroków, a które onby skruszył jednem klapnięciem szczęk?

A zwierzę tymczasem istotnie się zbudziło. Ujrzał mię i wydał głuchy pomruk. Był to pewnie głos zadowolenia, że zdobycz jest tuż.

Kołysał główką, zawieszoną na końcu długiego ciała i okropnie wykrzywiając pysk, ukazywał potężne kły.

Jednak nim miał się rzucić na mnie, wahał się jeszcze. Dzikie zwierzęta, nie znające człowieka, instynktownie go się boją.

I tak przeszło kilka godzin. Słońce wzbiło się nad horyzontem. Teraz zrobiło się gorąco.

Nagle, zauważyłem nowe niebezpieczeństwo.

Pod palącemi promieniami słońca kra jęła topnieć. Jej brzegi grążyły się w ocean i zdawało się, że zaczyna już sama kruszeć.

Nie śmiałem się ruszyć, choć chciałem sobie dokładnie zdać sprawę. Byłem pewien, że za pierwszym ruchem, który uczynię, zwierzę rzuci się na mnie.

Mam być pożarty, czy utonąć?

W owych chwilach, szanowni słuchacze, jakże żałowałem skromnego, spokojniutkiego miejsca laboranta na wydziale naukowym w Sztokholmie!

Ale za późno było oddawać się tym mądrym refleksjom.

Czyniłem je sobie jednak, gdy nagle wydało się, że zwierz się zdecydował. Wzniósł się na tylne łapy i rycząc straszliwie, wyciągnął przednie kończyny ku mnie, jakby chciał mię ująć, niczem w okropne imadło.

Zginąłem.

Machinalnie cofnąłem się; niedźwiedź postąpił.

Już się posunął do połowy kry; jużem był pewien, że to ostatnia moja godzina, gdy nagle kra pękła na dwoje; kawał, na którym on się znalazł, zakołysał się pod takim ciężarem i stoczył go w wodę, a moja kra tymczasem popłynęła dalej.

Nie straciłem głowy.

Pociągnąłem ku sobie wiosło i odpychając się nim, szybko się oddaliłem od przeciwnika.

Niedźwiedź biały jest złym pływakiem. Napróżno usiłował mię pochwycić. Nie dosięgnął kry. Poszamotał się jeszcze trochę i poszedł na dno.

Ocalałem.

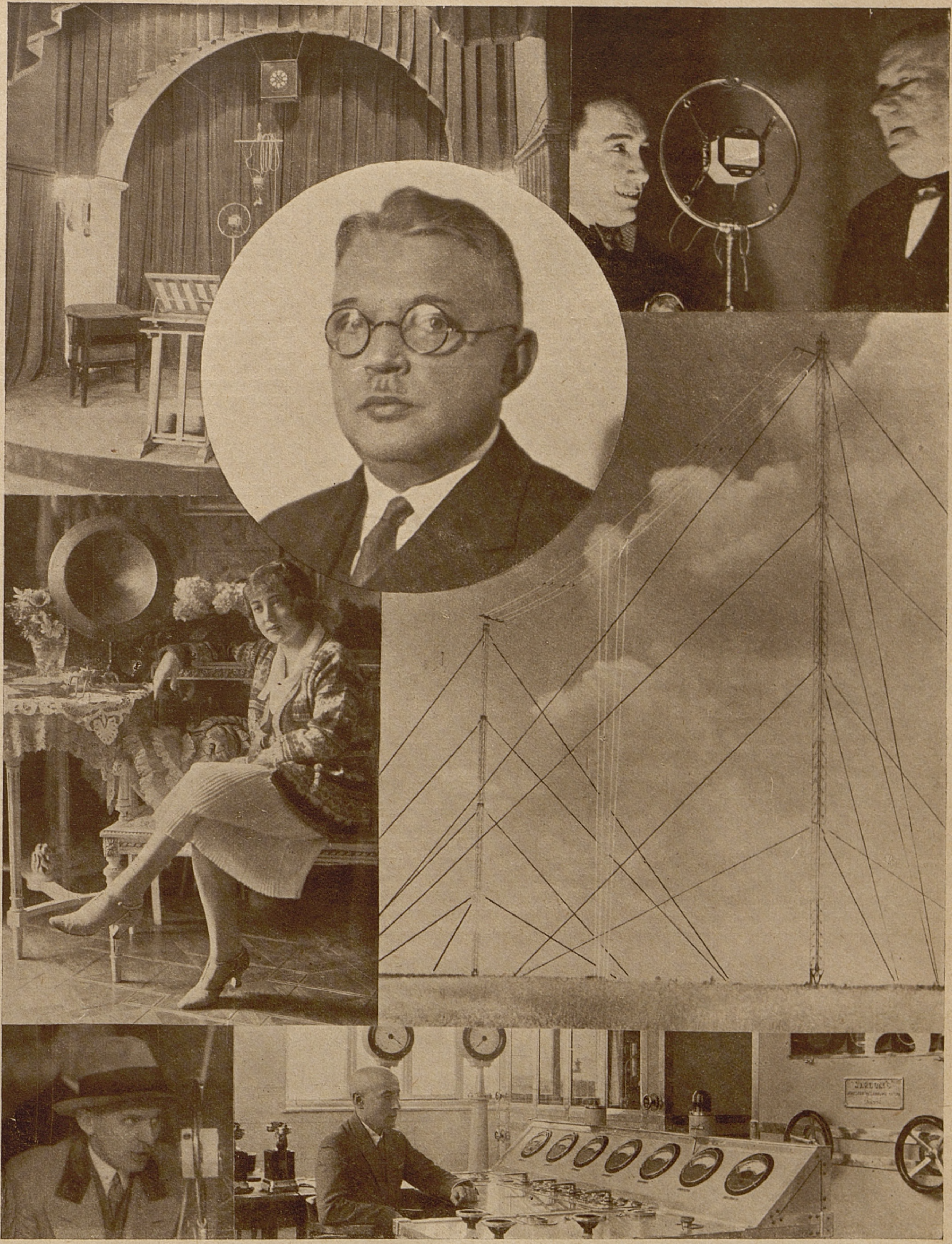
Na drugi dzień jakiś statek przechodził zdala. Zacząłem robić znaki rozpaczliwe. Zauważył, podpłynął i zabrał mię.

Ale moje włosy były całkiem białe.

J. Erick.

Zawiadomienie

Redakcja *Złotej Księgi Ziemiaństwa Polskiego* podaje do wiadomości P.P. Ziemian, że II tom dzieła — *Wielkopolska i Pomorze* — wobec przeżywanego kryzysu i niemożności zebrania całkowitego materjału, ukaże się z większem opóźnieniem. Po wyjściu z druku zamówione egzemplarze dostarczymy niezwłocznie



Polskie Radjo. — Podjum wielkiego studja muzycznego (por. następną stronę). — Tak wyglądają G r u b e R y b y, grane na cały świat przed mikrofonem przez M. Frenkla i Justjana. — W kole: naczelny dyr. Polskiego Radja Zygm. Chamiec. — M. Malicka słucha radja u siebie przed nastawionym głośnikiem. — Maszty potężnych anten na 210 m. wysokości najsilniejszej stacji świata w Raszynie. — Red. T. Strzetelski prawi nam d o s ł u c h u, co się działo na zawodach konnych. — T. zw. cudowny stolik, który na stacji raszyńskiej reguluje natężenie i wogóle sprawność fal radjowych.

JAK MIESZKA JEDENASTA MUZA

Obok zgiełkliwej Marszałkowskiej, o parę kroków od tłumów przechodniów, lśniących wystaw sklepowych, zgrzytu tramwajów i sygnałów samochodowych leży ulica Zielna. Tu w szarej kamienicy, wyrastającej nieco ponad inne domy, mieści się przybytek jedenastej muzy. Tak — jedenastej, skoro dziesiąte zajęła wcześniej urodzona muza filmu. Na drzwiach wejściowych skromny napis: *Polskie Radjo*.

Po białych marmurowych schodach wchodzimy na pierwsze piętro. Przed nami zaciszny podłużny przedpokój, ozdobiony portretami i karykaturami artystów i prelegentów radjowych. Na chybił trafił otwieramy drzwi nawprost nas. Miły, przyjazny półmrok zaprasza nas do środka. Z pod wysmukłej batikowej lampy pada ciepłe, stonowane światło. Na stole rozrzucone pisma. To pokój gościnny. Tutaj czekają na słodkie sam-na-sam z mikrofonem wszyscy artyści i prelegenci.

Otwieramy drzwi i wchodzimy teraz do błękitnego saloniku, zwanego pospolicie *studjo kameralne*. Ściany wybite są tutaj błękitnemi płytkami celotexu, tłumiącego niepożądane echa, po bokach stoją dwa ciemne fotele, w rogu kanapka. Pośrodku — czarne pianino, a przed niem tron profesora Ursteina. Tutaj ten król akompanjatorów towarzyszy niewidzianym przez nas, śpiewaczkom, śpiewakom, skrzypkom i t. d. Tu błąkają się skargi aryj operowych, albo szalone, namiętne westchnienia i uśmiechy włoskich pieśni. W głębi, wśród ciężkich pluszowych kotar czuwa mikrofon.

Przechodzimy do wielkiego studja — ściany białe, ozdobione wzorzystą sztukaterją — kryształowy olbrzym-żyrandol, kinkiety boczne i wspaniałe lampy narożne zalewają salę potokami światła. Na wzniesieniu pulpit dyrygenta, w głębi estrada, pod ścianą dwa koncertowe fortepiany. Zamknięte w hebanowych szkatułach drzemią cudowne melodje; mazurki, ballady, scherza, walce, potężne symfonje...

A dalej, z małego korytarza na prawo — *studjo odczytowe*. Małe, przytulne, pełne wiadomości dobrego i złego, notowań giełdy zbożowej, odczytów i feljetonów.

Studjo speakerowskie. Wchodzimy do równie małego, jak tamten, pokoiku, obitego żółtemi płytkami celotexowemi. Na biurku stoi mikrofon oraz pełna tajemniczych lampek i guziczków skrzynka. Zapomocą tego skomplikowanego przyrządu, speakerzy mogą włączać i wyłączać mikrofony we wszystkich studjach. Z boku pod ścianą mieści się trzytalerzowy elektryczny gramofon.

Przechodzimy o piętro wyżej, do studja literackiego. Znów jesteśmy w dużym, wysłanym dywanami miękkim i cichym salonie. Stąd radjo nadaje słuchowiska. Obok— amplifikatornia. Oto skromne a wytworne apartamenty potężnej muzy.

NOWY ROK SZKOLNY PRZED NAMI

WYŻSZA SZKOŁA HANDLOWA W POZNANIU

Założona w jesieni 1926 roku W. S. H. w Poznaniu rozwija się niezwykle pomyślnie. Podczas gdy w pierwszym roku po założeniu liczyła około 300 studentów, to obecnie liczy ich przeszło 1000.

W bieżącym roku nastąpiła reorganizacja planu studjów, która je upraszcza, a jednocześnie pogłębia. Zmniejszono ilość obowiązkowych przedmiotów egzaminowych, wprowadzając zarazem większe wymagania co do prac dyplomowych pisemnych. Przy pracach dyplomowych zachowano możliwość specjalizacji w kierunku ekonomicznym, handlowym, przemysłowym, bankowym, transportowym i ubezpieczeniowym. Pozatem stworzono roczny kurs pedagogiczny dla kandydatów na nauczycieli w szkolnictwie handlowem.

ŚREDNIA SZKOŁA CHEMICZNO-GARBARSKA W RADOMIU

Szkołę prowadzi Towarzystwo Popierania Wiedzy Chemiczno-Garbarskiej w Radomiu, wspiera zasiłkami departament szkolnictwa zawodowego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Nauka w szkole trwa 4 lata. Świadectwo ukończenia szkoły daje tytuł technika.

Opłata za naukę wynosi po 50 zł. miesięcznie. Uczniów niezamożnych zwalnia się od opłaty.

W szkole wykłada się następujące przedmioty: A. ogólno-kształcące: 1. religja; 2. język polski wraz z historją i geografją ogólną i Polski; 3. matematykę: algebrę, geometrję i trygonometrję; 4. fizykę; 5. przyrodę; 6. język obcy (francuski lub niemiecki). B. zawodowe: 1. chemję nieorganiczną; 2. chemję organiczną; 3. chemję analityczną; 4. chemję fizyczną; 5. technologję chemiczną; 6. garbarstwo wraz z analizą garbarską i warsztatami; 7. technologję gazów i dymów bojowych i technologję środków wybuchowych; 8. maszynoznawstwo z kreśleniami; 9. elektrotechnikę; 10. mikrobjologję techniczną; 11. higjenę zawodową i ratownictwo; 12. geografję gospodarczą; 13. rachunkowość; 14. prawo z uwzględnieniem prawa wekslowego i robotniczego.

Szkoła zaopatrzona jest w obszerne laboratorja do pracy samodzielnej uczniów.



Seminarjum żeńskie SS. Urszulanek im. Św. Kingi w Tarnowie.

ZAKŁADY NAUKOWO-WYCHOWAWCZE S. S. URSZULANEK

Znane na terenie Rzeczypospolitej ze swej działalności naukowo - pedagogicznej S. S. Urszulanki otwierają od września r. b. nową placówkę oświatową w Gdyni. Narazie powstaną 4 klasy gimnazjum z internatem i 3 oddziały przygotowawcze. Przez miesiące wakacyjne S. S. Urszulanki prowadzić tu będą pensjonat dla pań i dzieci. (Adres: Gdynia, róg szosy Gdańskiej i Witamińskiej).

We Włocławku na Kujawach S.S. Urszulanki rozpoczęły od 1.IX b. r. pracę w Zakładach T-wa Oświata i Wychowanie.

Jest nadzieja, że nowe placówki rozwiną się pomyślnie na wzór istniejących już szkół Zgromadzenia S.S. Urszulanek, gimnazjów żeńskich w Krakowie, Tarnowie, Lublinie, Poznaniu, Lwowie, Stanisławowie, Kołomyi, Rybniku, seminarjum naucz. w Tarnowie i seminarjum zawodowego w Rybniku.

Ponadto S.S. Urszulanki mają w Zakopanem willę dla chorych i w Rokicinach (st. i p. Chabówka) uzdrowisko czynne przez cały rok dla uczenic i dla pań.

W bardzo zdrowotnej Kołomyi, otwierają S.S. Urszulanki od września roku szkolnego 1931/32 jednoroczne Pedagogjum Nauczycielskie dla arbiturjentek gimnazjalnych.

SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIE ŻEŃSKIE T. S. L. W KRAKOWIE

Prywatne Seminarjum Nauczycielskie Żeńskie Towarzystwa Szkoły Ludowej imienia Fr. Preisendanza w Krakowie powstało w r. 1898. Założyło je grono nauczycieli seminarjów państwowych. Pierwszym kierownikiem i zarazem właścicielem był ś. p. prof. Fr. Preisendanz. Gdy ten zasłużony kierownik usunął się, złożony chorobą, zakład w r. 1908 przejęło na własność Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Od r. 1903 aż po dzień dzisiejszy zakład posiada pełne prawa seminarjów państwowych. Nauka odbywa się podług planów szkół państwowych.

Egzaminy wstępne na I kurs odbywają się 30 czerwca. Na wyższe kursy kandydatów się nie przyjmuje z braku wolnych miejsc.

GIMNAZJUM DIECEZJALNE MĘSKIE IM. DŁUGOSZA WE WŁOCŁAWKU

Szkoła mieści się nad malowniczym brzegiem Wisły w pięknym gmachu, wybudowanym według najnowszych wymagań higjeny i techniki.

Celem zakładu jest wszechstronne i harmonijne wychowanie młodzieży w duchu zasad katolickich: wpoić w nią zamiłowanie obowiązku i uchronić od złych wpływów. Wpływom otoczenia młodzież łatwo podlega, to też przy Gimnazjum otworzono internat, starannie kierujący młodzieżą.

Gimnazjum obejmuje ośm klas typu humanistycznego z programem gimnazjów państwowych. Ponadto istnieją dwie klasy wstępne. Zaprowadzono w szkole konwersację francuskiego i niemieckiego.

Ćwiczenia gimnastyczne i wojskowe odbywają się pod fachowem kierownictwem i według wymagań M. W. i O. P. Raz na miesiąc urządza się audycje muzyczne na pełnym koncertowym fortepianie Bechsteina w wykonaniu prof. Konserwatorjum Warszawskiego, Józefa Turczyńskiego oraz wykłady profesorów uniwersytetów. W dziale robót ręcznych: ceramika, witrażownictwo i trybowanie.

Szkoła posiada prawa szkół państwowych, kategorję A.

Do klas przyjmuje się z początkiem września i lutego. Do klas wstępnych można zgłaszać chłopców w ciągu roku szkolnego.



Orkiestra zdrojowa w Krynicy pod dyr. F. Kochańskiego.

GIMNAZJUM ŻEŃSKIE SANATORYJNE IM. Ś. TERESKI W RABCE

Nowy ten w Polsce typ szkoły, wzorowany na zakładach szwajcarskich, łączy naukę i wychowanie z kuracją klimatyczną i solankową.

Szkoła i internat mieszczą się w murowanym dwupiętrowym gmachu. Gimnazjum jest typu humanistycznego. Posiada pełne prawa państwowe. Na czele wykwalifikowanego grona nauczycielskiego stoją kierowniczki, p. p. Szczuka.

Wychowanie opiera się na metodach nowoczesnych, prowadzone jest w duchu religijnym i obywatelskim. Zakład obliczony jest zaledwie na 50 panienek, więc praca nad niemi odbywa się indywidualnie.

Kuracja polega na werandowaniu, przebywaniu na świeżem powietrzu, kąpielach, piciu solanki, nacieraniu solanką, naświetlaniach, wziewaniach i gimnastyce leczniczej. Dopełniają jej sporty: saneczki, łyżwy, narty, tennis i t. p.

Zakład przyjmuje wyłącznie dzieci chrześcijan. Nie przyjmuje się dzieci zaraźliwych i nienormalnych.

UZDROWISKA POLSKIE – ŹRÓDŁA ZDROWIA I SIŁY

KRYNICA — PERŁA WÓD POLSKICH ZDROJOWISKO CAŁOROCZNE

Krynica stanowi przez wody swoje, malownicze położenie, klimat, naprawdę piękny twór przyrody. Niezwykła obfitość czynników i środków leczniczych przy niemal całorocznym sezonie sprawia, że wskazania lecznicze dla Krynicy są bardzo szerokie:

choroby krwi i narządów krwiotwórczych,
choroby serca i naczyń,
choroby przemiany materji i gruczołów dokrewnych,
choroby kobiece,
nieżyty żołądka, jelit, przewodów żółciowych,
nieżyty nerkowe i in.

Sezon zimowy w Krynicy, to raj dla sportowców. Skocznia narciarska, wyższa niż w St. Moritz, zyskała sobie już europejską sławę. Na zawody narciarskie ściągają ze wszystkich krajów mistrzowie świata. Pozatem tory saneczkowe, tory łyżwiarskie dostarczają wbród rozrywek zimowych.

Mieszkalny Dom Zdrojowy, hotel wraz z kawiarnią i restauracją, z dancingiem i z koncertami, łazienki stylowo zbudowane, liczne pensjonaty oraz restauracje, magazyny, sklepy — to wszystko, czem się chlubią pierwszorzędne zdrojowiska europejskie, znajdziecie w Krynicy.

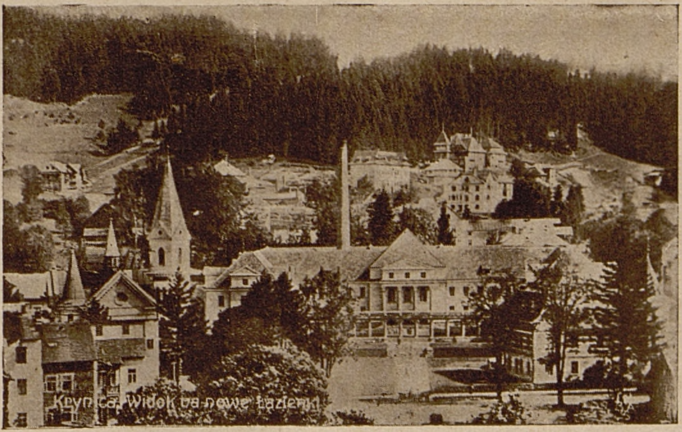
Sala balowa, bibljoteka-czytelnia, znakomita orkiestra zdrojowa pod dyrekcją cenionego muzyka p. Feliksa Kochańskiego, radjo przy mnóstwie innych rozrywek, a wobec niskich cen pobytu — pensjonat 10—12 zł. dziennie — stawiają tę naszą perłę polskich wód wyżej od osławionych badów zagranicznych.

Krynica, dzięki niezmordowanej i owocnej pracy dyrektora Państwowego Zakładu Zdrojowego, inżyniera L. Nowotarskiego, który przez dwadzieścia lat usilnie służy społeczeństwu swą wiedzą i energją, doszła do pełnego rozkwitu.

*

Z przyjemnością stwierdzamy, że ruchliwa Dyrekcja wytwornego Kabaretu-Dancin-







Najświeższy dorobek Krynicy — nowe łazienki. Z lewej strony inż. L. Nowotarski, dyrektor P. Zakł. Zdr. w Krynicy, z prawej — dr. K. Gorski, burmistrz Krynicy.



W Muszynie nad Popradem

gu w reprezentacyjnym lokalu Krynicy *Bagateli* dołożyła wszelkich starań, aby swym gościom uprzyjemnić pobyt estetyczną rozrywką, na którą składają się występy sił artystycznych polskich i zagranicznych. Obszerna, doskonale przewietrzana balowa sala, o przedziwnie pięknych efektach świetlnych pozwala zaspakajać najwybredniejsze upodobania. Zespół wytwornej muzyki z warszawskiej Polonji zaangażowany na sezon, ogród, w którym odbywają się taneczne podwieczorki przy najwytworniejszym Towarzystwie każą nazwać *Bagatelę* największą atrakcją Krynicy.

MUSZYNA

Muszyna jest to letnisko i zdrojowisko podkarpackie obok Krynicy. Leży w pow. nowosądeckim, wojew. krakowskiem, na wysokości 452 m. nad poz. morza, w kotlinie otoczonej ze wszech stron zalesionemi górami, nad rzekami Popradem, Muszynką i Szczawniczkiem.

Zalecają Muszynę naturalne kąpiele mineralne kwasowęglowe, kąpiele borowinowe, kąpiele rzeczne popradowe, zawierające duży % wody mineralnej, kąpiele słoneczne z plażą nad Popradem, znakomita woda mineralna do picia.

Wspaniałe spacery po okolicznych górach i lasach. Jedyny w Polsce duży las lipowy. Klimat miejscowości łagodny.

Kąpiele mineralne kwasowęglowe czynne są od 15 maja, borowinowe zaś od 1 czerwca do końca października.

Ceny pokoi tak w willach jak i w domach prywatnych od 2 zł. 50 gr. do 4 zł. za dobę, w pensjonatach pokój z całodziennem utrzymaniem od 8 do 11 zł.

W najmie mieszkań pośredniczy Biuro najmu mieszkań w Muszynie.

SAMORZĄD M. CIECHOCINKA

W r. 1926-7 na budowę nowych jezdni i chodników miasto przeznaczyło 37.250 zł., w r. 1929-30 72.000 zł. a w r. b. 119.571 zł. Najwięcej dokonano w dziedzinie drogowej w r. b., kładąc w śródmieściu ok. 2 km. jezdni asfaltowej i przeciągając dwie nowe ulice długości 1600 m.

Budowę 7-mio klasowej szkoły powszechnej dotąd wykonano w 40% projektowanych kosztów t. j. 750.000 zł. Skromny budżet miasta, wynoszący w r. b. 343.045 zł., nie pozwoliłby na wymienione nakłady, gdyby nie pożyczki i zasiłki kuratorjum szkolnego, sejmiku i P. Banku Komunal.

W r. b. rozpocznie się budowę hal targowych. Magistrat zasiłkuje straż ochotniczą w wysokości 6.000 zł. rocznie. W r. ub. zakupił dla niej auto-motor-pompę.

W dziedzinie opieki społecznej magistrat utrzymuje przytułek dla starców oraz dorocznie organizuje i dopełnia pomoc dla bezrobotnych. W r. b. powstanie tania kuchnia, przedszkole i dożywianie dzieci.

W r. b. magistrat przeznaczył 6.000 zł. na założenie kursów dokształcających dla rzemieślników, kursów dla dorosłych i czytelni.

Przy magistracie istnieje od r. 1928 Komunalna Kasa Oszczędności, której obroty roczne sięgają 1.200.000 zł., a zysk czysty przekracza 6.000 zł., mimo skromny kapitał zakładowy 21.000 zł. W r. b. rada miejska podniosła kapitał zakładowy K. K. O. do 50.000 zł. i gruntownie zreorganizowała kasę.

ZDROJOWISKO SIARCZANE WIENIEC

Wieniec, wieś w pow. włocławskim, woj. warszawskiem, leży o 6 km. od Włocławka nad rzeką Zgłowiączką, dopływem Wisły. Miejscowość malowniczo położona na wielkich obszarach leśnych.

Wieniec posiada silne źródła siarczano-wapienne. Skutecznie leczy się tutaj gościec, dnę, rwę kulszową, zapalenie stawów, choroby kobiece i skórne.

Lekarze i apteki w pobliskim Włocławku. Stała komunikacja samochodowa z Włocławkiem. Na miejscu 120 pokoi umeblowanych bez pościeli w tutejszych pensjonatach. Połączenie telefoniczne: Włocławek 170. Zdrojowisko znajduje się pod zabiegliwym zarządem ks. kan. St. Pruskiego.

ŚMIECH TO ZDROWIE



— Brawo, Władku, świetnie urządziłeś ten namiot. Ale nie zostawiaj przecież tej śmiesznej dziury na samym środku!

⁂

— Kręcicki, powiedz mi, kiedy jest najlepsza pora na zbieranie jabłek?
— Wtedy, panie profesorze, jak pies jest uwiązany.

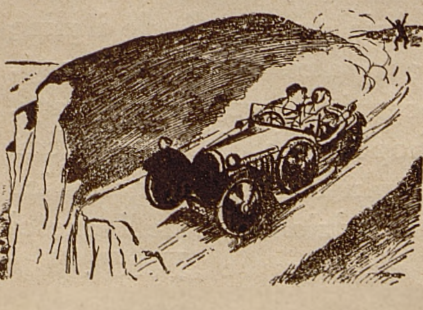
⁂

Po powrocie z letnich wywczasów przegląda pan pocztę. Nagle woła do żony:
— Przypominasz sobie tę zabawną parę, którąśmy spotkali nad Morskiem Okiem, a potem zaprosiliśmy ich do nas.
— Pamiętam, rozumie się. A co się z nimi stało?
— Wyobraź sobie, że ci idjoci zamierzają rzeczywiście nas odwiedzić.

⁂

— Mówiłam ci, Marysiu, że jak przyjdzie ta nudna pani Łapska, żebyś jej powiedziała, że mnie niema w domu. Powiedziałaś?
— Powiedziałam, proszę pani.
— I cóż ona na to?
— O, chwała Bogu!

⁂



O parę kroków od przepaści

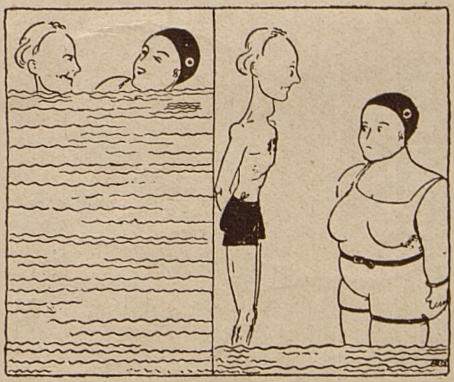
— Stasiu, czego ten człowiek tak okropnie wrzeszczy?
— Bo ja wiem? może mię wziął za jakiego znajomego.

— Gdzie pan tak pędzi, panie?
— Nie zatrzymujcie mię, muszę przeszkodzić pojedynkowi między dwoma ludźmi!
— O kimże jesteś, szlachetny przyjacielu ludzkości?
— Jestem jednym z tych dwóch.

⁂

Gość hotelowy do portjera:
— Co nowego w hotelu?
— Wszystko naopak, proszę szanownego pana: Hiszpan dostał żółtaczki, a Chińczyk hiszpanki.

⁂



Podczas kąpieli i po wyjściu z wody — czyli obopólne rozczarowanie

⁂



W dobie kryzysu w berlińskim Tiergartenie — gdzie za wynajęcie jednego krzesełka płaci się 10 fenigów

⁂

Wypracowanie uczenicy II kl. na temat dowolny

Była jedna dziewczynka. Ale ona nie chciała być dziewczynką i przebrała się za chłopca. Wtedy wszyscy myśleli, że ona jest chłopcem. I upłynęło dużo czasu. Ten chłopiec był już duży. Pewnego razu ten chłopiec był bardzo chory i przed śmiercią zaczęły go męczyć wyrzuty sumienia. Wtedy zawołał żonę i dzieci i tak im mówi: Ja was oszukiwałam, nie jestem chłopcem, tylko przebraną dziewczynką. Wszyscy płakali.



— Wie pan, już trzy godziny przyglądam mu się i jeszcze niczego nie złapał. Że też to ludzie mają tyle czasu do stracenia!

⁂

Poeta niemiecki Wieland siedział z przyjacielem przed kominkiem, na którym żarzył się skąpy ogieniek. Przyjaciel czytał mu rękopis swej rozwlekłej tragedji. Wreszcie zaczyna Wieland drżeć i szczękać zębami. Przyjaciel przerwał i pyta, czy Wielandowi zimno.
— Rozumie się. Albo ognia do twych wierszy, albo twe wiersze do ognia. Jedno z dwojga mogłoby mię rozgrzać.

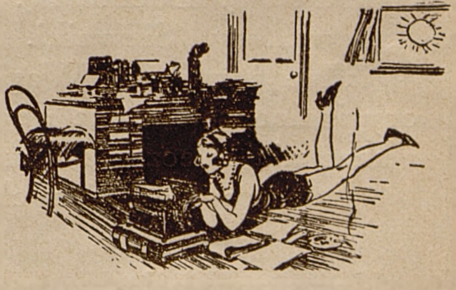
⁂

Sprzedawca uliczny do przechodnia bezrobotnego:
— Może budzik, łaskawy panie?
— Nie potrzebuję budzika, mogę spać ile chcę.

⁂

Malcowi, który ciągnie ciężko naładowany wóz, zaczyna pomagać jakiś przechodzień.
— Dlaczego nie powiesz gospodarzowi, że taki ciężar, to nie na twoje siły.
— Mówiłem już nieraz, ale on ciągle swoje: zawsze — powiada — znajdzie się na ulicy jakiś kiep, co ci pomoże.

⁂



Panna Andzia, maszynistka, po powrocie z plaży nadmorskiej taki obrała system pracy w biurze

OKRĘGOWA WYSTAWA KONI W LUBLINIE

Dnia 21 czerwca r. b. wojewoda lubelski p. Bolesław Świdziński otworzył w Lublinie okręgową wystawę koni, zorganizowaną przez Związek hodowców lubelskich konia szlachetnego. U wejścia powitał go Zarząd Związku z prezesem p. Budnym na czele. Wystawiono 349 koni i 45 sztuk bydła rasowego. Wystawa trwała przez 3 dni. Obudziła duże zainteresowania nietylko ziemiaństwa lubelskiego, wojskowych i miłośników koni, lecz nawet zwróciła uwagę zagranicy. M. in. zwiedziła wystawę bułgarska komisja remontowa.

Poniższa ilustracja nasza przedstawia chwilę, w której pan wojewoda w towarzystwie członków Zarządu Związku hodowców lubelskich otwiera Wystawę.

Z ŻEGLUGI NA WIŚLE

Kwestję taniego i szybkiego przewozu zdołała rozwiązać Żegluga Rzeczna *Vistula*.

Spółka *Vistula* utrzymuje połączenia:

a) *Warszawa — Puławy — Sandomierz* (2 odjazdy dziennie),

b) *Warszawa — Płock — Włocławek — Toruń — Grudziądz — Gdańsk* (3 odjazdy dziennie).

c) Wkrótce przybywa nowe połączenie: *Warszawa — Tczew — Gdynia*.

Niewątpliwie liczne sfery przemysłowe i handlowe zainteresują się przewozem towarów Wisłą, który przy tej regularności, jaką wprowadziła Żegluga Rzeczna *Vistula* daje maximum gwarancji szybkiej i najtańszej dostawy, jaką dotychczas znamy.



OKRUCHY

JAK DAWNIEJ CZYTANO?

Starożytność i wczesne średniowiecze nie znały czytania milczącego. Św. Augustyn, który w r. 384 odwiedził biskupa medjolańskiego św. Ambrożego — ze zdziwieniem, jako o czemś niezwykłem i godnem upamiętnienia, pisze o św. Ambrożym w swych *Wyznaniach:* „A gdy Ambroży czytał, to biegały oczy jego po stronicach, a serce wchodziło mu w umysł; głos zaś i język spoczywały". Takie same zresztą świadectwa dają pisma także innych autorów starożytnych. Co więcej, okazuje się, że pisano wówczas głośno; człowiek starożytny, pisząc, sam sobie poprostu dyktował.

Dziś głośnego czytania wymaga tylko szkoła od młodzieży. Ale wymaga słusznie. Bo chociaż cywilizacja współczesna wytworzyła zdolność czytania milczącego myślą, to jednak dla kultury wymowy niezbędne są ćwiczenia w porządnem, dokładnem czytaniu nagłos. Człowiek nie umiejący wyraźnie, dobitnie czytać na głos i porządnie mówić, jest jak kaleka.

PIES ŻEBRAK

W dawnym Paryżu pewien ślepy żebrak miał pudla. Gdy ślepiec umarł, pudel po dawnemu zajmował ulubione miejsce pana na bulwarze Kapucynek. I po dawnemu, leżąc z miseczką w pysku, otrzymywał jałmużnę od przechodniów. Tak przez kilka lat pies żebrał i próżnował. Gdy zdechł, znaleziono dwanaście tysięcy franków w sienniku, na którym sypiał.

CZY PAN MÓWI PO MAŁPIEMU?

Dotąd pytano nas: Czy pan umie po francusku? po angielsku? po włosku? Teraz rychło patrzeć, jak w Ogrodzie Zoologicznym zapyta nas dozorca: a czy pan mówi po małpiemu?



Niemiecki przyrodnik Aleksander Sokołowski opisuje, jak przyjaciel jego, prof. Schilings, wszedłszy do klatki z 5 małpami, witał je okrzykiem *oh! oh!*, a małpy odpowiadały mu przyjaźnie tym samym okrzykiem, wskakując żywo na ręce i ramiona.

Po tej próbie prof. Sokołowski starał się nawiązać porozumienie z wielu szympansami. Przeważnie, jak mówi, udawało mu się to bez trudu. Nie udawało się tylko z jednostkami mało inteligetnemi lub niedomagającemi na zdrowiu. Od okrzyku *oh. oh!* aż do *hu, hu!* wyrażały małpy różne uczucia: przyjaźń, gniew, złość. Bębnieniem i tupaniem wzmacniały dźwiękowe wynurzenia.

Gdy w Altonie profesor miał odwiedzić w cyrku tresowanego szympansa, przestrzegano go, aby się zanadto nie zbliżał do małpy. Wstąpiwszy do izby, gdzie stała klatka z szympansem, profesor wykrzyknął wypróbowane powitanie. Skutek był nadzwyczajny. Zwierzę podniosło się natychmiast, roziskrzyło radośnie oczy, odpowiedziało tem samem powitaniem, a targnąwszy prętami, domagało się, aby je wypuścić. Na prośbę profesora otworzono klatkę,



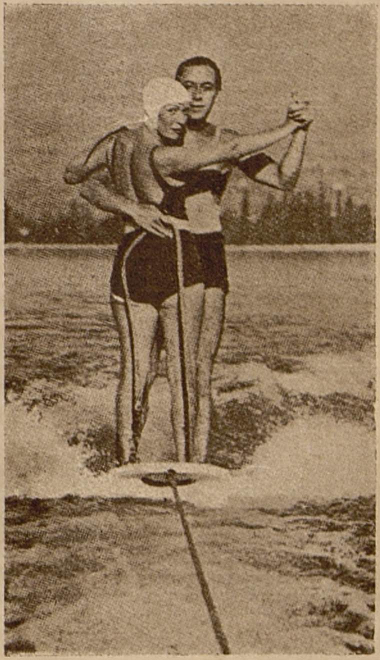
a ten powtórzył powitanie. Małpa, bardzo poruszona, podbiegła ku niemu, objęła za szyję i nie omieszkała uściskami objawić mu swej przychylności.

Inny przyrodnik niemiecki, J. Schwidetzky — także polskie nazwisko! — napisał całą książkę p. t. *Czy mówisz po małpiemu?* Stara się w niej dociec mostu językowego między człowiekiem a zwierzęciem. Można wykazać, zdaniem Schwidetzkego, stopniowe przejście od małpich oznajmień dźwiękowych, poprzez przyrodzone dźwięki człowieka pierwotnego, aż do wykształconych języków współczesnej ludzkości.

Na naszej ilustracji widać, że młody szympans z młodym orangutangiem doskonale się porozumiewają.

NAJPIĘKNIEJSZE RUDE WŁOSY

Jakie to części ciała kobiecego nie były już przedmiotem konkursów? Bywały konkursy na najśliczniejsze oczy, najpiękniejsze ręce, najzgrabniejszą kibić, najwymowniejsze nogi, a niedawno odbył się w Nowym Jorku konkurs na najcudniejsze włosy rude. Palmę zwycięską otrzymała jakaś miss Nolan. Życzymy jej szczęścia! Zwłaszcza, jeśli to były jej własne włosy w naturalnej barwie! Bo czyż barwa włosów jest dziś u pań czemś trwałem? Zeszłoroczne szatynki są dziś przeraźliwie jasnemi blondynkami, to znów, na skinienie mody, brunetkami. A podobno płynie już powietrzem — baczność — moda na włosy rude właśnie.



NA AKWAPLANIE NA JEZ. BOURGET

Oto najnowszy sport wodny — jazda na akwaplanie. Jak widzimy pomysłowy ten krążek, ciągniony przez motorówkę, wytrzymuje obciążenie nawet dwóch ludzi.

SZTUKA WŁÓCZENIA SIĘ

Uwagi entuzjasty

Włóczęgostwo nie jest bynajmniej sztuką łatwą, jakby się mogło wydawać niejednemu profanowi. Włóczęga początkujący popełnia moc omyłek. Jak praktykant w terminie. Taki nowicjusz zatrzymuje się, gdzie szkoda się zatrzymać, a znów omija nieuważnie szczegóły godne uwagi. Włóczęga w całem znaczeniu nie gapi się na byle pożar, na konia padłego na ulicy, na wołu, pędzonego do rzeźni. Natomiast prawdziwy włóczęga potrafi zatrzymać się na długo gdzieś w zakątku ulicy, w miejscu, gdzie ludzie nie znający sztuki włóczęgostwa, nie dostrzegają niczego. A jednak włóczęga patrzy i przygląda się. Godzinami obserwuje bieganinę i krzątaninę ludzką. Stopniowo sztuka i wiedza jego się doskonali: zajmuje się całkowicie tem, co jest najbardziej interesujące — życiem. Wszystko powinno być żwawe, szybkie, nabrzmiałe życiem, aby zainteresować włóczęgę. Włóczęgostwo jest wiedzą — powiedział Balzac.

UPROSZCZONE ROZWODY

Indjanie z plemienia Zuni w Meksyku mają uproszczone formalności rozwodowe. Oto gdy niestały mąż opuścił ognisko domowe, żona zawiesza siodło mężowskie z wszystkiemi jego drobiazgami nazewnątrz chaty. To wystarcza. Gdy mąż wróci i ujrzy tę wystawę, niema już po co wstępować do chaty. Już po małżeństwie. Bez adwokata, bez konsystorza, bez urzędnika stanu cywilnego, bez kosztów.

Były mąż zgarnia manatki i idzie do *keva*. Jest to coś w rodzaju klubu i przytułku dla rozwodników. Instytucja bardzo pożyteczna. Tam byli mężowie palą fajki, rozprawiają o dziwnej nietrwałości rzeczy ludzkich i zamyślają o nowem małżeństwie.

TEATR KINO WIDOWISKO

Teatry warszawskie pod koniec sezonu wiosennego wystawiły kilka sztuk tłomaczonych, a Teatr Letni wznowił *Dzieje Salonu* Kazimierza Wroczyńskiego, dobrze zbudowaną sztukę na tle doli inteligencji powojennej, sztukę, która przed dziesięciu laty mocno poruszyła i zjednała sobie opinję stolicy.

Duże zainteresowanie wzbudził, nieco wcześniej jeszcze grany w Teatrze Narodowym ponury dramat K. H. Rostworowskiego na tle życia chłopskiego, z wielu mocnemi scenami i ze zbyt wyraźnie zaznaczoną dążnością moralizatorską. Sztukę prostą, serdeczną i mocną — *Pod falami* J. A. Hertza — wystawił Teatr Nowy. Raz jeszcze okazało się, jak wiele osiąga się na scenie prostemi środkami, umiejętnie stosowanemi. Wymieńmy wreszcie nierówną, miejscami bardzo wesołą, ale naogół niedbale budowaną farsę Zygmunta Kaweckiego — *Droga do piekła*.

Aż dwie angielskie rzeczy szły w omawianym okresie. Teatr Mały dawał zręczną komedję obyczajową, wymierzoną przeciw lekkomyślnym rozwodom zaślepionych starszych panów p. t. — *Pierwsza pani Frazer*, a Ateneum — J. Galsworthy'ego *Gołębie serce*, wzruszającą tragedję nieszczęsnych rozbitków życiowych, a zarazem tragedję szlachetnego lecz słabego uzdrawiacza dusz. W Teatrze Narodowym zjednała sobie zasłużone uznanie wyborna karykatura dzisiejszych zawrotnie szybkich karjer i szybkich przemian społecznych. Mówimy o komedji Molnara *Raz dwa trzy*. Także zuchwalstwo i bezczelność w zdobywaniu karjery miała za temat wznowiona komedyjka Twain'owska — *O człowieku, który redagował gazetę rolniczą*, — także w Narodowym wystawiana. Rozpowszechniający się rodzaj teatralny, komedja muzyczna znalazł historyka i ideologa w — komedji muzycznej Sachy Guitry'ego — *Marjeta, czyli jak się pisze historję*. Oglądaliśmy ją w Teatrze Polskim.

Z pośród rewij niesłabnącem powodzeniem cieszyła się *Podróż na księżyc* w Morskiem Oku. Był to nowy typ rewji, w którym wszystkie obrazy wiążą się ze sobą. Cała treść osnuta jest na przygodach wynalazcy, który szuka kapitalisty po całym świecie i oczywiście na świecie go nie znajduje, więc jedzie na księżyc. Rzęsiste oklaski zbierała w obrazie *Pod samowarem* Zula Pogorzelska z Olszą oraz tragarz numer 13 — Leon Wyrwicz. Przypomina ich nasza ilustracja.

Kina w minionym okresie, wyludnione przez upały, urządziły strejk, wszczynając wojnę z magistratem o obniżkę podatków. Straciliśmy przez to niejeden czarowny uśmiech Suzy Vernon, tęsknej Prowansalki, którą widzimy obok, i wiele innych uśmiechów — melancholijnych, kuszących, smętnych, beztroskich, wyrafinowanych, dziecięcych.





PRZECZYTAJMY

Jan Rzewnicki. 1863. Warszawa. 1930. Dzieje ostatniego naszego powstania i poprzedzających go starć, ujęte w obrazy sceniczne, pełne dramatycznego napięcia. Utwór dużej wartości.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Dramat w ojczyźnie. Warszawa 1930.

Żywa, jak film rozwijająca się powieść o przeżyciach dwóch młodych Polaków, którzy dążąc do ojczyzny, napotykają na srogie dla patrjotycznego serca zawody, zakończone śmiertelną tragedją jednego z nich. Nie wszystkie skojarzenia przemawiają do nas, nie zgodzilibyśmy się na samo zakończenie, ale obrazy, jakie autor roztacza, wprost przykuwają do tej książki.

Ignati Mosseg. Moskwa dawna i dzisiejsza a narody podbite północno-wschodniej Europy. Warszawa 1931.

Choć tyle, tyle lat nieszczęsnych żyła z musu połowa Polski z Rosją, to jednak Rosję mało jeszcze znamy. Za sprawą Instytutu Wschodniego, przedstawiciel małego, zgnębionego narodku wschodnio-fińskiego daje nam książkę rewelacyjną pod niejednym względem. Dowiadujemy się z niej, że cała północ dzisiejszej Rosji Europejskiej, mniejwięcej od Moskwy poczynając, powstała na gruzach wysokiej kultury i organizacji pokojowych narodów fińskich. Jednak mimo całe tępicielstwo moskiewskie, niemal dokładnie połowa ludności Rosji do dziś nie jest rosyjska. Lecz rozproszona, zwolna stopnieje i zginie w morzu rosyjskiem, jeśli nie otrzyma pomocy. Tej pomocy wzywa, o tę pomoc błaga autor narody Europy. Książka zbudowana nierówno, ale pisana bardzo ciekawie. Miejscami czyta się ją, jak pierwszorzędną egzotykę. Gorąco ją polecamy czytelnikom.

Przedpłata roczna — t. j. za 12 miesięcy — zł. 16, półroczna zł. 8 z przesyłką pocztową.

Redakcja i administracja: Warszawa, Podwale 1 m. 3, tel. 261-78, czynna 1 — 3 pp. Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki 3 — 4.

Redaktor: CZESŁAW ROKICKI — Dyrektor wydawn.: STANISŁAW SAS LITYŃSKI — Wydawczyni: EUGENJA WĄSOWSKA.

Drukarnia Współczesna, Warszawa, Szpitalna 10.